

Jack Vance

Planety pochodzenia

(Worlds of Origin, v.t. Coup the Grace)

Super-Science Fiction, February 1958

Thumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Worlds of Origin" (later reprinted under the title "Coup the Grace") by Jack Vance.

First publication of this story: Super-Science Fiction, February 1958. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed. It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Ośrodek, skupisko oplecionych metalową siecią baniek, unosił się w pustej przestrzeni, w regionie nazywanym przez Ziemian, Strzelcem. Jego właścicielem był Pan Pascoglu, niski, ciemny i niesamowicie energetyczny człowiek, niemal łysy, z niespokojnymi brązowymi oczyma i gęstymi, grubymi węsami. Jako człowiek z ambicjami, Pascoglu miał nadzieję przekształcić Ośrodek w kurort wypoczynkowy, przepiękną wyspę pośród gwiazd -- coś więcej niż tylko zwykłe przydrożne miejsce postoju i punkt przesiadkowy. Działając w tym kierunku, dodał ponad dwadzieścia jasnych, nowych baniek -- „domków”, jak je nazwał -- wokół zewnętrznej granicy sieci Ośrodka, który już przed tą operacją przypominał model nader złożonej molekuły.

Domki były przytulne i wygodne, salon restauracyjny serwował produkty odpowiedniej kuchni; w ogólnie dostępnych pomieszczeniach, można było znaleźć nadzwyczajnie zróżnicowane towarzystwo. Magnus Ridolph, uznał Ośrodek za miejsce jednocześnie uspokajające i inspirujące. Siedząc sobie w przyćmionym świetle salonu restauracyjnego, w którym same gwiazdy służyły jako kandelabry, kontemplował współtowarzyszących mu gości. Przy znajdującym się po jego lewej ręce stoliku, częściowo zasłoniętym przez donice z dendronami, siedziały cztery osoby. Magnus zmarszczył brwi. Wszyscy jedli w całkowitym milczeniu, a co najmniej trzech z nich obchodziło się ze swoimi talerzami, w zupełnie nieokrzesany sposób.

– Barbarzyńcy – stwierdził Magnus Ridolph i odwrócił się w inną stronę. Pomimo tego pokazu braku manier, nie czuł się specjalnie urażony; w Ośrodku należy oczekiwać kontaktów z różnymi ludźmi. Dzisiejszego wieczora, zdawali się oni wypełniać cały zakres spektrum ewolucji, od siedzących po lewej stronie chamów, przez kilkudziesięciu mniej lub bardziej dystygowanych przedstawicieli cywilizacji, osiągając punkt kulminacyjny w -- Magnus Ridolph poklepał serwetką swoją białą brodę – jego własnej osobie.

Kątem oka zauważył, że jedna z czterech osób wstała, podchodząc do jego stolika.

– Proszę mi wybaczyć moje najście... ale jak rozumiem, pan nazywa się Magnus Ridolph.

Magnus potwierdził swoją tożsamość i jego rozmówca, bez zaproszenia, usiadł ciężko przy jego stoliku. Ridolph wahał się między chłodną lakonicznością i grzecznością. W świetle gwiazd, rozpoznał w swoim gościu antropologa, Lestera Bonfilsa, którego ktoś mu kiedyś wcześniej pokazał. Magnus, zadowolony ze swojej spostrzegawczości, zdecydował się na grzeczność. Trzy pozostałe osoby, przy stoliku Bonfilsa,

byli dzikusami w całej rozciągłości: byli to paleolityczni mieszkańcy S-Cha-6, czasowo pozostający pod strażą Bonfilsa. Ich twarze były groźne, ponure i ostrożne; wydawali się być rozzaczarowani przejawami cywilizacji, z którymi mieli okazję się zetknąć. Nosili na nadgarstkach metalowe bransolety i dosyć ciężkie żelazne pasy: kajdanki magnetyczne. W razie potrzeby, Bonfils mógł w jednej chwili unieruchomić ręce swoich podopiecznych.

Sam Bonfils był przystojnym człowiekiem, o gęstych jasnych włosach, lekko falujących. Jego twarz powinna wyglądać kwitnąco, a zamiast tego była blada. Powinien emanować samą otwartością i dobroduszością, a zamiast tego był wycofany i nieśmiały. Usta miał wygięte do dołu, a nos zwieszony na kwintę; w ruchach naukowca nie było widać energii, tylko gorączkową nerwowość. Nachylił się do przodu.

– Jestem pewien, że jest pan już znudzony ciągłymi problemami innych ludzi... ale ja potrzebuję pomocy.

– W chwili obecnej, nie jestem zainteresowany podjęciem żadnej pracy – odparł Magnus Ridolph, zdecydowanym tonem.

Bonfils wyprostował się, rozglądając się wokół, nie znajdując w sobie siły nawet do protestu. Gwiazdy rozbłysły na białkach jego oczu, a skóra lśniła kolorem sera. Wymamrotał:

– Nie powinienem oczekiwać niczego więcej.

Jego twarz przyjęła tak mroczny i rozpaczliwy wyraz, że Ridolph poczuł ukłucie współczucia.

– Tak z ciekawości -- i bez żadnych zobowiązań z mojej strony -- jaka jest natura pańskich problemów?

Bonfils zaśmiał się krótko -- był to ponury, pusty dźwięk.

– Zasadniczo... moje przeznaczenie.

– W tym przypadku, nie mogę panu udzielić zbyt wielkiej pomocy – zauważył Magnus Ridolph.

Bonfils roześmiał się znowu, równie pusto jak poprzednio.

– Używam słowa „przeznaczenie” w jego najszerszym znaczeniu, aby objąć... – wykonał jakiś nieokreślony gest – ...sam już nie wiem co. Jestem chyba predestynowany do porażek i niepowodzeń. Uważam się za człowieka dobrej woli -- a chyba nie ma nikogo, kto by miał więcej wrogów ode mnie. Przyciągam ich do siebie, tak jakbym był najbardziej zajadłym i pełnym nienawiści stworzeniem, jakie żyje na świecie.

Ridolph zmierzył Bonfilsa wzrokiem, ze śladem zainteresowania.

– A więc, ci wrogowie, zjednoczyli się przeciwko panu?

– Nie... A przynajmniej nie wydaje mi się. Jestem nękany przez kobietę. Z pełnym zaangażowaniem, zajęła się zorganizowaniem mojej śmierci.

– Mogę dać panu pewną, dosyć ogólną, radę – oznajmił Magnus Ridolph. – Oto ona: Zerwać wszelkie kontakty z tą kobietą.

Bonfils odpowiedział z rozpaczliwym pośpiechem, rzucając spojrzeniem do tyłu, na swoich paleolitycznych podopiecznych.

– Przede wszystkim, ja nie mam z nią nic wspólnego! Na tym polega cały problem! Mogę się zgodzić, że jestem głupcem; antropolog powinien uważać na takie rzeczy, ale byłem za bardzo zaabsorbowany moją pracą. To wszystko miało miejsce, na południowym krańcu Kharesm, na Journey's End; zna pan może to miejsce?

– Nigdy nie miałem okazji odwiedzić Journey's End.

– Jacyś ludzie zatrzymali mnie na ulicy... „Doszły nas słuchy, że zaangażowałeś się w intymne związki z naszą krewną!”. Oczywiście zaprotestowałem: „Nie, to nieprawda!” -- ponieważ naturalnie, jako antropolog, muszę unikać tego rodzaju spraw, jak zarazy.

Magnus Ridolph uniósł brwi z zaskoczeniem:

– Pański zawód wydaje się wymagać więcej, niż klasztorna klauzura.

Bonfils wykonał jakiś nieokreślony gest; myślami był zupełnie gdzie indziej. Odwrócił się, żeby sprawdzić swoich podopiecznych. Przy stole pozostał tylko jeden z nich. Bonfils zajęczał z głębi duszy, jednym skokiem zerwał się na nogi -- niemal przy tym wywracając do góry nogami stolik Magnusa Ridolpha -- i rzucił się za nimi w pościg.

Magnus ciężko westchnął, i po chwili, najwyżej dwóch, on również opuścił salon restauracyjny. Przeszedł całą długość głównego holu, ale Bonfilsa nie było nigdzie widać. Magnus znalazł więc sobie miejsce, usiadł na nim i zamówił brandy.

Główny hol był szczelnie wypełniony. Magnus Ridolph przypatrywał się innym istotom zajmującym pomieszczenie. Skąd ci najróżniejsi mężczyźni i kobiety, niemal-mężczyźni i niemal-kobiety, mogli pochodzić? Jakie powody przywiodły ich do Ośrodka? Na przykład, ten okrągły mnich o księżycowej twarzy, ubrany w sztywną, czerwoną szatę. Był tubylcem z planety Padme, położonej daleko, po drugiej stronie galaktyki: dlaczego więc zapuścił się tak daleko od domu?

A ten wysoki, kanciasty mężczyzna, którego wąska, ogolona głowa, ozdobiona była zestawem ornamentów z tantalu: Lord z planety Dacca. Na wygnaniu? W pościgu za jakimś wrogiem? Na jakiejś szalonej krucjacie?

Albo ten, siedzący samotnie, antrope z planety Hecate: chodzący argument na poparcie teorii równoległej ewolucji. Jego zewnętrzne podobieństwo stanowiło karykaturę człowieczeństwa, jako że wewnętrznie różnił się od ludzi mniej więcej tak dalece, jak mięczak. Jego głowa była mieszaniną bielących się kości czaszki i czarnego cienia, usta stanowiły pozbawioną warg szczelinę. Był Methem z Maetho, i Magnus wiedział, że jego rasa jest delikatna i nieśmiała, utrzymując tak niewielkie kontakty mentalne z istotami ludzkimi, że wydawała się tajemnicza i wieloznaczna...

Spojrzenie Magnusa Ridolpha przyciągnęła jedna z kobiet, zaskoczyła go jej przecudowna uroda. Miała ciemne włosy i była drobna, kolor jej skóry, przypominał barwę czystego piasku pustyni. Nosila się z pełną świadomością swojego piękna, która była niezmiernie prowokująca... Na

stojącym obok Magnusa krzesło, przysiadł niewysoki, niemal łysy mężczyzna, z gęstymi czarnymi wąsami: Pan Pascoglu, właściciel Ośrodka.

– Dobry wieczór, panie Ridolph. Jak pan się bawi, dzisiejszego wieczora?

– Bardzo dobrze, dziękuję panu... Ta kobieta, kim ona jest?

Pascoglu powiódł wzrokiem za spojrzeniem Magnusa.

– Ach. Jakaś bajeczna księżniczka. Z Journey's End. Nazywa się... – Pascoglu cmoknął językiem, – Nie mogę sobie tego przypomnieć. Jej nazwisko brzmi... tak jakoś, z cudzoziemska.

– Z pewnością nie podróżuje sama?

Pascoglu wzruszył ramionami.

– Ona utrzymuje, że jest żoną Bonfilsa, tego faceta z trzema jaskiniowcami. Ale oboje zajmują różne domki i nigdy nie widziałem ich razem.

– Zdziwiałające – wymamrotał Magnus Ridolph.

– To bardzo delikatne określenie – stwierdził Pascoglu. – Jaskiniowcy muszą chyba mieć, jakieś skryte uroki.

Następnego ranka, Ośrodek rozhuczał się plotkami, ponieważ Lester Bonfils leżał martwy w swoim domku, zamknięty razem z trzema paleolitycznymi jaskiniowcami, podskakującymi z niepokojem w swoich klatkach. Goście spoglądali nerwowym wzrokiem po sobie. Jeden spośród nich, był mordercą!

Pan Pascoglu pojawił się u Magnusa Ridolpha, miotany skrajnymi emocjami.

– Panie Ridolph, wiem że przybył pan do Ośrodka na urlop, ale musi pan mi pomóc w wyjściu z tej całej sytuacji. Ktoś zabił biednego pana Bonfilsa, który jest martwy jak kamień, ale kto to mógł być... – rozłożył bezradnie ręce. – Naturalnie, nie mogę pozwolić tutaj na takie rzeczy,

Magnus Ridolph pogłodził swoją małą, białą bródkę.

– Czy na pewno chce pan, abym przeprowadził coś w rodzaju oficjalnego śledztwa?

– Dokładnie to chciałbym, żeby pan zrobił. – Pascoglu rzucił się na krzesło. – Ośrodek jest całkowicie poza jakąkolwiek jurysdykcją. To ja określam prawa sam dla siebie -- oczywiście, w obrębie pewnych granic. Chciałem przez to powiedzieć, że gdybym zaczął tutaj przygarniać przestępców, albo organizował oszustwa, ktoś mógłby się w to wmieszać. U mnie jednak nie ma niczego podobnego. Pijaństwo, bijatyki, drobne szwindle -- takimi sprawami po cichu się zajmujemy. Ale nigdy nie mieliśmy zabójstwa. Ta sprawa musi zostać załatwiona!

Magnus Ridolph zastanawiał się przez chwilę, lub dwie.

– Zakładam więc, że nie macie tutaj żadnego wyposażenia kryminologicznego?

– Chodzi panu o te maszyny do wykrywania kłamstw, detektory oddechu i wykrywacze komórek biologicznych? Nie mamy niczego takiego. Nie mamy nawet skanerów odcisków palców.

– Tak też myślałem – westchnął Magnus. – No dobrze, nie mogę odmówić pańskiej prośbie. Mogę zapytać, co pan zamierza zrobić z przestępcą po tym, jak już jego... lub ją, aresztuję?

Pascoglu zerwał się na nogi. Ewidentnie, ta kwestia nie przyszła mu do głowy. Wyciągnął przed siebie zaciśnięte w pięści dłonie.

– A co powinienem zrobić? Nie jestem przygotowany do zorganizowania procesu. Nie chcę również, tak po prostu kogoś zastrzelić.

Magnus Ridolph oświadczył mentorskim tonem:

– Na to pytanie, sam pan sobie musi odpowiedzieć. Pomimo wszystko, sprawiedliwość nie ma absolutnych standardów.

Pascoglu energicznie skinął głową.

– Ma pan rację. Proszę znaleźć tego, kto to zrobił. Potem zdecydujemy, jaki będzie następny krok.

– Gdzie są zwłoki? – spytał go Magnus.

– Nadal znajdują się w domku, dokładnie tam, gdzie znalazła je pokojówka.

– Nikt ich nie dotykał?

– Oglądał je tylko doktor. Natychmiast po tym, przyszedłem do pana.

– To dobrze. Chodźmy więc, do domku Bonfilsa.

„Domek” Bonfilsa był kulą, położoną daleko, na zewnętrznej granicy Ośrodka, od górnej strony. Od głównego holu, dzieliła go odległość jakichś pięciuset jardów, rurą łącznikową.

Ciało leżało na podłodze, koło białego rozkładanego fotela. Wyglądało jak kupka szmatek, patetycznie, groteskowo. Pośrodku czoła można było dostrzec oparzenie, nie było widać żadnych innych śladów zbrodni. Trzej paleolityczni jaskiniowcy, siedzieli zamknięci w pomysłowej klatce z elastycznej metalowej plecionki, bez wątpienia składanej. Sama klatka, nie dałaby rady utrzymać w środku muskularnych dzikusów. Plecionki bez wątpienia znajdowały się pod napięciem.

Obok klatki stał chudy, młody mężczyzna, który wyglądał jakby albo pilnował, albo drażnił jaskiniowców. Kiedy Pascoglu i Magnus Ridolph weszli do domku, pośpiesznie odwrócił się w ich stronę.

Pascoglu dokonał prezentacji:

– Doktor Scanton, Magnus Ridolph.

Magnus uprzejmie skinął głową.

– Zakładam, panie doktorze, że dokonał pan co najmniej wstępnych oględzin?

– Dostatecznie dokładnych, aby móc potwierdzić śmierć.

– Czy może pan określić czas śmierci?

– Około północy.

Magnus uważnie przeszedł przez pokój, spoglądając z góry na zwłoki. Nagle zawrócił i dołączył do czekających koło drzwi Pascoglu i doktora.

– I, co? – spytał z niepokojem Pascoglu.

– Jeszcze nie zidentyfikowałem przestępcy – odparł Magnus. – Jednak, jestem niemal wdzięczny biednemu Bonfilsowi. Jego przypadek wydaje się być niemal klasycznie czystym okazem.

Pascoglu przygryzł wąsa.

– Być może jestem zbyt ograniczony...

– Zestaw ewidentnych truizmów może poważnie uporządkować naszą wiedzę – oświadczył Magnus. – Po pierwsze, autor tego czynu, znajduje się obecnie w Ośrodku.

– Naturalnie – odparł Pascoglu. – Nie przyleciał żaden nowy statek, żaden też nie odleciał.

– Motywy stojące za tym czynem, związane są z mniej więcej bezpośrednią przeszłością.

Pascoglu wykonał niecierpliwy gest. Magnus uniósł do góry rękę i Pascoglu ze zdenerwowaniem podjął ponowny atak na swojego węża.

– Przestępca, ze wszelkim prawdopodobieństwem, miał jakiegoś rodzaju związki z Bonfilsem.

Pascoglu stwierdził:

– Nie wydaje się panu, że powinniśmy wrócić do głównego holu? Być może ktoś coś zezna, albo...

– Wszystko we właściwej chwili – powstrzymał go Magnus. – Dodajmy jeszcze do tego, że wydaje się, iż nasza lista najpoważniejszych podejrzanych, składać się będzie z towarzyszy podróży Bonfilsa, w drodze do Ośrodka.

– Przyleciał na *Maulerer Princeps*; mogę zdobyć listę pasażerów, niemal od ręki. – I Pascoglu pośpiesznie wyszedł z domku.

Magnus stał w wejściu, uważnie przyglądając się pomieszczeniu. Po chwili zwrócił się do doktora Scantona:

– Oficjalna procedura, wymaga sporządzenia zestawu szczegółowych fotografii; zastanawiam się, czy zdoła pan to jakoś zorganizować?

– Na pewno. Zrobię je sam.

– Dobrze. A potem... wydaje się, że nie ma żadnych specjalnych powodów, aby nie przenieść ciała.

Magnus Ridolph wrócił rurą łącznikową do głównego holu, gdzie znalazł Pascoglu, siedzącego w biurze.

Pascoglu pchnął w jego stronę jakąś kartkę papieru.

– To są informacje, o które pan prosił.

Magnus z zainteresowaniem przestudiował zawartość kartki. Wyszczególnione było na niej trzynaście osób:

1. Lester Bonfils, z: a. Abu, b. Toko, c. Homupem
2. Viamestris Diasporus
3. Cierń 199
4. Fodor Impliega
5. Fodor Banzoso
6. Scriagl
7. Hercules Starguard
8. Fiamella z Tysiąca Świec
9. Klan Pustulek, 14-ty Okręg, 6-ta Rodzina, 3-ci Syn
10. (Bezimienny)

– Ach – stwierdził Magnus. – Doskonale. Jest jednak pewien problem. Szczególnie byłbym zainteresowany planetami, z których pochodzą te osoby.

– Planetami ich pochodzenia? – poskarżył się Pascoglu. – A na co one panu?

Magnus zmierzył Pascoglu łagodnym spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

– Jak rozumiem, chce pan, abym rozwiązał sprawę tej zbrodni?

– Tak, oczywiście, ale...

– Proszę więc, aby współpracował pan ze mną w najpełniejszym możliwym zakresie, bez żadnych dalszych protestów, ani wybuchów niecierpliwości.

I Magnus dodał do swoich słów tak zimne i ostre spojrzenie, że Pascoglu ustąpił i wyrzucił ręce do góry.

– Niech będzie to w pański sposób. Ale nadal nie rozumiem...

– Jak już wcześniej zauważyłem, Bonfils był na tyle uprzejmy, że dostarczył nam przypadku o pełnej klarowności.

– Dla mnie, to wcale nie jest takie klarowne – gderał Pascoglu. Popatrzył na listę. – Myśli pan, że morderca jest wśród nich?

– To możliwe, ale nie konieczne. Równie dobrze to mógłbym być ja, albo pan. Obaj mieliśmy ostatnio kontakty z panem Bonfilsem.

Pascoglu uśmiechnął się kwaśno.

– Jeżeli to pan, to proszę przyznać się od razu i oszczędzić mi wydatków na pańską pensję.

– Obawiam się, że to nie do końca jest takie proste. Ale problem jest podatny na atak. Podejrzani -- osoby na tej liście i inni ludzie, z którymi Bonfils miał ostatnio do czynienia -- pochodzą z różnych planet. Każda z nich jest produktem unikalnej kultury. Policja mogłaby rutynowo rozwiązać ten przypadek, poprzez użycie maszyn analizujących i wykrywających. Ja mam nadzieję osiągnąć te same efekty, poprzez użycie analizy kulturowej.

Mina Pascoglu przypominała wyraz twarzy rozbitka na bezludnej wyspie, obserwującego znikający za horyzontem jacht.

– Jeżeli tylko przypadek zostanie rozwiązany – oznajmił pustym, drewnianym głosem, – i sprawa nie nabierze rozgłosu.

– Tak, więc – energicznie podsumował Magnus, – planety z których pochodzą.

Dodano odpowiednie uzupełnienia. Magnus Ridolph przeanalizował jeszcze raz otrzymana listę. Wydał wargi i pociągnął za swoją białą bródkę.

– Muszę nieć dwie godziny na przestudiowanie tego. Potem -- przesłuchamy naszych podejrzanych.

Minęły dwie godziny i Pan Pascoglu nie mógł już dłużej wytrzymać. Pomaszerował z furią do biblioteki, gdzie zastał Magnusa Ridolpha gapiącego się w kosmos i pukającego ołówkiem o stół. Pascoglu otworzył już usta, żeby wybuchnąć, gdy Magnus odwrócił w jego stronę głowę, a łagodne spojrzenie niebieskich oczu, jakby przełączyło jakiś przekaźnik w mózgu Pascoglu. Właściciel Ośrodka opanował się i zadał stosunkowo spokojne pytanie, na temat stanu dochodzenia Magnusa.

– Całkiem nieźle – odparł Magnus. – A pan czego się dowiedział?

– No cóż, może pan wykreślić z listy Scriagla i tego gościa z Klanu Pustulek. Grali w karty w pomieszczeniu kasyna i mają niezbite alibi.

Magnus stwierdził pełnym namysłu tonem:

– Oczywiście, możliwe jest również, że Bonfils spotkał któregoś ze swoich dawnych wrogów, już tutaj, w Ośrodku.

Pascoglu odchrząknął.

– W czasie, kiedy pan tutaj sobie siedzi i rozmyśla, ja zadałem parę pytań. Moi ludzie sporo widzą, niewiele im umknie. Powiedzieli mi, że Bonfils rozmawiał dłużej tylko z trzema osobami. Należę do niech ja sam, pan i ten lama o księżycowej twarzy, w czerwonych szatach.

Magnus skinął głową.

– Ja rozmawiałem z Bonfilsem na pewno. Wydawał się być w poważnych kłopotach. Upierał się przy tym, że pewna kobieta, jak mi się wydaje, Fiamella z Tysiąca Świec -- chciała go zabić.

– Co! – zawołał Pascoglu. – Pan przez cały czas o tym wiedział?

– Proszę się uspokoić, drogi panie kolego. Twierdził, że zaangażowała się ona w proces doprowadzenia do jego śmierci -- to nieco odmienna rzecz, w porównaniu z tym ostatecznym aktem, którego konsekwencji byliśmy świadkami. Prosiłbym pana, o powstrzymanie się od tych krzyków; dostanę od nich zawału. Aby dokończyć moją myśl, ja również rozmawiałem z Bonfilsem, ale siebie mogę spokojnie z tej sprawy wyeliminować. Pan poprosił mnie o pomoc, a przecież zna pan moją reputację: stąd, z równie dużą dozą pewności, mogę wyeliminować również i pana.

Pascoglu chrząknął pogardliwie i krążył po pomieszczeniu.

Magnus mówił dalej:

– Ten lama -- trochę słyszałem o tym kulcie. Wierni pokładają nadzieje w reinkarnacji, a cnoty takie jak uprzejmość i miłosierdzie, są ich absolutnym fetyszem. Kapłan Padme nie ośmieliłby się popełnić takiego czynu, jak morderstwo. Bałby się spędzić kilku kolejnych wcieleń jako szakał, czy morski polip.

Drzwi biblioteki otworzyły się i stanął w nich, jakby przyciągnięty jakimś telepatycznie przekazany przymusem, sam lama. Spostrzegłszy zachowanie Magnusa i Pascoglu, spoczywające na nim ich czujne spojrzenia, zawahał się.

– Czy może przeszkadzam w jakiejś rozmowie, nie przeznaczonej dla moich uszu?

– Rozmowa rzeczywiście ma charakter prywatny – odparł Magnus, – ale jako że jej tematem jest pańska osoba, dobrze by było, gdyby dołączył pan do nas.

– Jestem do pańskich usług. – Lama wszedł do pomieszczenia. – Jak dalece zaszła dyskusja?

– Chyba wie pan o tym, że antropolog, Lester Bonfils, został ubiegłej nocy zamordowany.

– Słyszałem rozmowy na ten temat.

– Wiemy, że ostatniego wieczora, pan z nim rozmawiał.

– Tak, to prawda. – Lama złapał głęboki oddech. – Bonfils znalazł się w poważnych kłopotach. Jeszcze nigdy nie widziałem tak przygnębionego człowieka. Kapłani Padme -- a już szczególnie my, Obrządku Isavest -- przysięgamy praktykować zasady altruizmu. Oddajemy przydatne usługi wszystkim żywym istotom, a w pewnych okolicznościach, nawet także rzeczom nieorganicznym. Uważamy, że istota życia wykracza poza protoplazmę; a w gruncie rzeczy jego początki wiążą się z prostym -- lub może wcale nie aż takim prostym -- ruchem. Jedna cząsteczka przemykająca koło drugiej -- czyż nie jest to przypadek życia? Dlaczego nie mielibyśmy przyjąć założenia istnienia świadomości każdej cząsteczki? Niech pan pomyśli o tej otaczającej nas burzy inteligencji; proszę sobie wyobrazić oburzenie, jakie wywołałoby nasze nieostrożne stąpienie. Z tego powodu, my kapłani poruszamy się tak delikatnie, jak to tylko jest możliwe i uważnie wybieramy miejsce, w którym stawiamy nasze stopy.

– Acha, hmmm – zniecierpliwił się Pascoglu. – Czego chciał Bonfils?

Lama zastanawiał się przez chwilę.

– To dosyć trudne do wyjaśnienia. Był ofiarą wielu różnych zmór. Wydaje mi się, że próbował zachowywać się honorowo, ale jego zasady były wzajemnie sprzeczne. W efekcie tego, prześladowały go napady podejrzliwości, erotyzmu, wstydu, oszołomienia, strachu, gniewu, urazy, rozczarowania i zażenowania. Ponadto, wydaje mi się, że zaczynał się obawiać o swoją reputację zawodową...

Pascoglu przerwał mu.

– Ale konkretnie, o co pana prosił?

– O nic szczególnego. Może, o słowa otuchy i zachęty.

– I udzielił mu ich pan?

Lama nieznacznie się uśmiechnął.

– Mój drogi przyjacielu, ja zajmuję się poważnymi programami umysłowymi. Potrafimy podzielić nasz mózg, rozdzielając prawą półkulę od lewej, tak że możemy myśleć przy wykorzystaniu dwóch oddzielnych umysłów.

Pascoglu miał już wyrzucić z siebie kolejne zniecierpliwione pytanie, ale powstrzymała go interwencja Magnusa.

– Lama stara się panu powiedzieć, że tylko głupiec mógłby rozwiązać problemy Lestera Bonfilsa, przy pomocy słów.

– To, w pewnym stopniu, odpowiada temu, co miałem na myśli – potwierdził lama.

Pascoglu z zakłopotaniem wodził wzrokiem od jednego do drugiego, a potem uniósł ręce, z niechęcią.

– Ja, po prostu, chcę się dowiedzieć, kto wypalił dziurę w głowie Bonfilsa. Może pan mi w tym pomóc, tak czy nie?

Lama uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Z radością panu pomogę, ale zastanawiam się, czy dobrze pan rozważył motywacje swoich działań? Czy czasami nie działa pan pod wpływem pewnego archaicznego dziwactwa?

Magnus gładko przetłumaczył.

– Lama ma na myśli Prawo Mojżeszowe. Ostrzega przed postępowaniem w imię doktryny oko za oko, ząb za ząb.

– I znów – zadeklarował lama, – niezwykle trafnie uchwycił pan istotę moich słów.

Pascoglu wyrzucił ręce w górę, uciekł na koniec pomieszczenia i po chwili przybiegł z powrotem.

– Starczy tych głupstw! – zaryczał. – Kapłanie, wynoś się pan stąd!

Magnus Ridolph jeszcze raz wziął na siebie ciężar tłumaczenia.

– Pan Pascoglu przekazuje słowa uszanowania i prosi o trochę czasu, aby mógł dokładniej przestudiować pański punkt widzenia.

Lama skłonił się i wyszedł. Pascoglu kwaśno stwierdził:

– Kiedy to wszystko się już skończy, pan i ten pański kapłan, możecie wykręcać logikę, tak jak tylko będziecie mieli na to ochotę. Jestem już chory od tego gadania. Chciałbym zobaczyć choć trochę działania. – Wcisnął przycisk. – Proszę poprosić tę kobietę z Journey's End -- Pannę Tysiąc Świec, czy jak tam ona się nazywa -- aby przyszła do biblioteki.

Magnus uniósł nieco brwi.

– Co ma pan zamiar zrobić?

Pascoglu uniknął spojrzenia Magnusa.

– Mam zamiar porozmawiać z tymi ludźmi, aby dowiedzieć się wszystkiego, co wiedzą.

– Obawiam się, że traci pan czas.

– A jednak – zjadł odpór Pascoglu. – Skądś muszę rozpocząć. Nikt jeszcze nigdy, niczego się nie dowiedział, leżąc sobie do góry brzuchem w bibliotece.

– Przyjmuję więc, że nie życzy pan już sobie moich dalszych usług?

Pascoglu z irytacją przygryzł wąsa.

– Szczerze mówiąc, panie Ridolph, jak dla mnie, porusza się pan trochę za wolno. To bardzo poważna sprawa. Muszę szybko otrzymać jakieś wyniki.

Magnus skłonił się w milczącej zgodzie.

– Mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, abym był świadkiem przesłuchań?

– Absolutnie nic.

Po chwili oczekiwania, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Fiamella z Tysiącą Świec.

Pan Pascoglu i Magnus Ridolph wpatrywali się w nią w milczeniu. Fiamella miała na sobie zwykłą beżową sukienkę i miękkie skórzane sandały. Ramiona i nogi pozostawiła odkryte, a jej skóra była tylko odcień bledsza od sukienki. We włosy wpięła sobie niewielki pomarańczowy kwiat.

Pascoglu z ponurą miną zaprosił ją gestem do środka. Magnus poszedł na drugą stronę pomieszczenia, aby usiąść w stojącym tam fotelu.

– Tak, o co chodzi? – spytała Fiamella miękkim, słodkim głosem.

– Bez wątpienia słyszała już pani, o śmierci pana Bonfilsa? – zapytał ją Pascoglu.

– O, tak!

– I nie jest pani zmartwiona, z tego powodu?

– Wręcz przeciwnie, jestem bardzo szczęśliwa.

– Rzeczywiście. – Pascoglu odchrząknął. – O ile pamiętam, określała pani siebie, jako panią Bonfils.

Fiamella skinęła głową.

– Dokładnie tak, jak powiedziałeś. Na Journey's End, powiedzielibyśmy, że to on nazywa się pan Fiamella. To ja go wybrałam. Tymczasem on uciekł, co było bardzo poważnym despektem. Tak więc, wyruszyłam za nim w pościg, i powiedziałam mu, że go zabiję, jeśli nie wróci ze mną na Journey's End.

Pascoglu skoczył do przodu, jak terier, wymachując w powietrzu grubym palcem wskazującym.

– Ach! A więc, przyznaje pani, że go zabiła?

– Nie, nie – zawołała z oburzeniem. – Przy użyciu broni palnej? Po prostu mnie obrażasz! Wy wszyscy jesteście równie źli, jak Bonfils. Lepiej uważaj, zabiję cię.

Pascoglu cofnął się, wystraszony. Zwrócił się do Magnusa.

– Słyszał pan to, Ridolph?

– Słyszałem, słyszałem.

Fiamella energicznie skinęła głową.

– Wyśmiewasz się z kobiecego piękna; a cóż oprócz niego posiadają kobiety? Tak więc, zabiję cię i w ten sposób zakończę tę obrazę.

– Panno Fiamella, proszę tylko nam wyjaśnić, w jaki sposób pani zabija? – uprzejmie spytał Magnus.

– Naturalnie, zabijam przy pomocy miłości. Podchodzę mniej więcej w taki sposób... – zrobiła kilka kroków do przodu, zatrzymując się tuż przed Pascoglu i spoglądając mu prosto w oczy. – Unoszę moje dłonie... – wolno podniosła ręce, trzymając zaciśnięte pięści w stronę twarzy Pascoglu. – Odwracam się do tyłu i odchodzę. – Zrobiła to, oglądając się przez ramię. – Wracam. – Szybko podeszła z powrotem. – I wkrótce zaczniesz mi mówić: „Fiamello, pozwól mi siebie dotknąć, pozwól mi poczuć twoją skórę”. A ja odpowiem: „Nie!”. A potem obejdę cię dookoła i dmuchnę ci w kark...

– Proszę to przerwać! – niespokojnie zażądał Pascoglu.

– ... a pan wkrótce zblednie, pańskie ręce zaczną się trząść, i zacznie pan wołać” „Fiamello, Fiamello z Tysiąca Świec, kocham cię, umieram z miłości do ciebie!”. Potem przyjdę do pana, kiedy będzie już niemal ciemno, ubrana tylko w kwiaty, a pan wykrzyknie: „Fiamello!”. Wtedy...

– Myślę, że mamy już jasny obraz – przerwał jej słodkim tonem Magnus. – Kiedy pan Pascoglu odzyska głos, z pewnością przeprosi panią za niezamierzoną obrazę. Jeżeli chodzi o mnie, to nie jestem w stanie wyobrazić sobie bardziej przyjemnej formy odejścia, i niemal udało się pani skusić mnie do...

Figlarnie uszczypnęła go w brodę.

– Jesteś za stary.

Magnus zgodził się z płaczliwą miną.

– Obawiam się, że ma pani rację. Przez chwilę sam siebie oszukiwałem... Może pani odejść, panno Fiamello z Tysiąca Świec. Niech pani wraca na Journey's End. Pani zniechęcony mąż nie żyje; nikt już więcej nie ośmieli się pani obrazić.

Fiamella uśmiechnęła się, w czymś w rodzaju zasmuconego podziękowania, i delikatnymi giętkimi krokami, podeszła do drzwi. Zatrzymała się przy nich i odwróciła się w stronę Pascoglu.

– Chcesz się dowiedzieć, kto wypalił dziurę w biednym Lesterze?

– Tak, oczywiście – z niecierpliwością odpowiedział Pascoglu.

– Czy znasz kapłanów Cambysesa?

– Fodora Impliega i Fodora Banzoso?

Fiamella skinęła głową.

– Oni nienawidzili Lestera. Zażądali od niego: 'Podaruj nam jednego z twoich dzikich niewolników. Minęło już wiele czasu, musimy wysłać duszę naszemu bogu.' Lester odpowiedział im 'Nie!' Byli bardzo rozgniewani i wiele rozmawiali między sobą o Lesterze.

Pascoglu przytaknął głową, głęboko zamyślony.

– Rozumiem. Z pewnością przesłucham tych kapłanów. Dziękuję pani za informację.

Fiamella wyszła. Pascoglu podszedł do siatki w ścianie.

– Proszę przysłać do mnie Fodora Impliega i Fodora Banzoso.

Nastąpiła chwila przerwy, a następnie głos urzędnika odpowiedział mu:

– Panie Pascoglu, oni są w tej chwili zajęci. Jakiegoś rodzaju obrządek, czy coś podobnego. Powiedzieli, że to zajmie tylko kilka minut.

– Hmm... No dobrze, proszę przysłać tutaj Viamestrisa Diasporusa.

– Tak jest, proszę pana.

– Dla pańskiej informacji – powiedział Magnus, – Viamestris Diasporus pochodzi z planety, na której bardzo popularne są walki gladiatorów, dobrzy gladiatorzy są gwiazdami, a już szczególnie amatorzy, walczący tylko dla poklasku publiczności i prestiżu, którzy mogą stać się wysoce szanowanymi notablami.

Pascoglu odwrócił się w jego stronę.

– Jeżeli Diasporus jest gladiatorem-amatorem, to jak mi się wydaje, musi być twardy i zimny. Nie przejmuję się pewnie tym, kogo musi zabić!

– Ja tylko przedstawiam fakty, które zebrałem w czasie porannych badań. Pan sam musi wyciągnąć z nich, własne konkluzje.

Pascoglu chrząknął.

W drzwiach wejściowych pojawił się Viamestris Diasporus, wysoki mężczyzna, ze srogo wyglądającą, orlą głową, którego Magnus już wcześniej zauważył w holu. Uważnie przebiegł wzrokiem po wnętrzu biblioteki.

– Proszę bardzo, niech pan wejdzie – zaprosił go Pascoglu. – Prowadzę przesłuchania w związku ze śmiercią Lestera Bonfilsa. Niewykluczone, że może nam pan pomóc.

Szczupła twarz Diasporusa, wydłużyła się jeszcze bardziej z zaskoczeniem.

– Zabójca sam się nie ujawnił?

– Niestety, nie.

Diasporus wykonał szybki gest, skiniecie głową, tak jakby wszystko nagle stało się dla niego jasne.

– Bonfils był najwyraźniej człowiekiem najniższej rangi i zabójca raczej wstydzi się swojego czynu, niż jest z niego dumny.

Pascoglu potarł się po tyle głowy.

– Pytając hipotetycznie, panie Diasporus, przypuśćmy, że to pan zabił Bonfilsa, jakie powody...

Diasporus machnął ręką w powietrzu.

– To wręcz śmieszne! Zepsuł bym tylko swoje statystyki, takim nieznaczącym zwycięstwem.

– Ale zakładając, że miał pan jakieś powody, żeby go zabić...

– A niby jakie mógłbym mieć? On nie należał do żadnego ze znanych rodów, nie zgłaszał żadnych wyzwań, jego postura nie predestynowała go nawet, do zamiatania piasku na arenie.

Pascoglu kontynuował zrzędlwym tonem:

– Ale jeżeli wyrządziłby panu jakąś szkodę...

Magnus uciął jego pytanie:

– Tak dla potrzeb dyskusji, założmy, że pan Bonfils, rozprysnął białą farbę, na froncie pańskiego domu.

Kilkoma ogromnymi krokami, Diasporus znalazł się koło Magnusa, a jego dzika, koścista twarz, spoglądała na niego z góry.

– Co się stało, co on takiego zrobił?

– Nie zrobił zupełnie niczego. Jest tylko martwy. Zadałem to pytanie, wyłącznie w celu oświecenia przez pana, pana Pascoglu.

– Ach! Rozumiem. Ja bym takiego kundla po prostu otruł. Najwyraźniej Bonfils nie popełnił żadnego podobnego błędu, ponieważ, jak rozumiem, zginął w sposób godny, przy pomocy honorowej broni.

Pascoglu wykręcił wzrok w stronę sufitu, wyciągając do góry rękę.

– Dziękuję, panie Diasporus. Dziękuję za pańską pomoc.

Diasporus opuścił bibliotekę. Pascoglu podszedł do siatki w ścianie.

– Proszę przysłać do biblioteki, pana Ciernia 199.

W milczeniu spacerowali po bibliotece. Wkrótce pojawił się w niej Cień 199, niewielki żylasty mężczyzna, o dość dużej, okrągłej głowie, wyraźnie pochodzący z jakiejś zmutowanej rasy. Skórę miał żółtą i woskową. Miał na sobie ubranie w pstrokatych, niebiesko-pomarańczowych kolorach, z czerwonym kołnierzykiem i rokokowych, czerwonych pantoflach.

Pascoglu odzyskał już równowagę.

– Dziękuję za pańskie przybycie, panie Cień. Próbuje wyjaśnić...

Magnus przerwał mu, bardzo zamyślonym tonem:

– Przepraszam, ale czy mógłbym mieć pewną sugestię?

– Słucham? – warknął Pascoglu.

– Obawiam się, że pan Cień nie jest ubrany w sposób, który by preferował na tak ważne przesłuchanie, jak to. Dla jego własnej wygody, proponowałbym, przede wszystkim, zmienić kolorystykę ubioru na czarny i biały, a do tego, oczywiście, należy dodać czarny kapelusz.

Cień 199 obdarzył Magnusa spojrzeniem pełnym niesamowitej nienawiści.

Pascoglu czekał zaintrygowany. Wodził wzrokiem od Magnusa, do Cienia 199 i z powrotem.

– To ubranie jest odpowiednie – wykrztusił z siebie Cień 199. Pomimo wszystko, nie dyskutujemy tutaj żadnych spraw, które miałyby jakieś specjalne znaczenie.

– Ach, ależ przecież robimy to. Przesłuchanie dotyczy śmierci Lestera Bonfilsa.

– O której nie wiem zupełnie nic!

– A więc, z pewnością nie będzie pan miał nic przeciwko temu, aby zmienić kolory na czern i biel.

Cień 199 okręcił się na pięcie i wyszedł z biblioteki.

– O co chodzi, z tą całą gadaniną o czerni i bieli? – dopytywał się Pascoglu.

Magnus wskazał ręką na pasek mikrofilmu, ciągle znajdujący się w przeglądarce.

– Dzisiaj rano, miałem okazję przyjrzeć się zwyczajom panującym na półwyspie Kolar, na Duax. Obowiązująca tam symbolika ubioru jest niesłychanie intrygująca. Na przykład, barwy niebieskie i pomarańczowe, w których przed chwilą pojawił się u nas Cień 199, związane są z frywolnym nastrojem, beztroskim lekceważeniem dla tego, co my, Ziemianie, określamy jako prawda. Dla odmiany, kolory czarne i białe są oznaką odpowiedzialności i rzeczowości. Kiedy barwy te uzupełnione zostaną przez czarny kapelusz, Kolarianie zobowiązani są do mówienia prawdy.

Pascoglu skinął głową, wyraźnie przygnębiony.

– No cóż, w międzyczasie, porozmawiam z tymi kapłanami Cambyse. – spojrzał na Magnusa, przepraszająco. – Słyszałem, że oni, tam na Cambyse, praktykują składanie ofiar z ludzi. Czy to prawda?

– Absolutna prawda – odparł Magnus.

Wkrótce pojawili się obaj kapłani, Fodor Impliega i Fodor Banzoso. Obaj byli korpulentni i wyglądali niezbyt sympatycznie -- mieli czerwone, rumiane twarze, pełne wargi, oczy na wpół zatopione w napuchniętych fałdach policzków.

Pascoglu przyjął swój oficjalny styl.

– Zostaną panowie przesłuchani, w związku ze sprawą śmierci Lestera Bonfilsa. Obaj panowie, byli jego współpasażerami, na pokładzie Maulerer Princeps. Być może więc, zauważyli panowie coś, co mogłoby rzucić nieco światła na jego śmierć.

Kapłani wydęli wargi, zamrugali oczyma i pokręcili przecząco głowami.

– My nie interesujemy się takimi ludźmi, jak Bonfils.

– A panowie sami, nie prowadzili z nim jakichś interesów?

Kapłani wpatrywali się w Pascoglu oczyma zimnymi, jak cztery, kamienne gałki.

Pascoglu odpowiedział im.

– Z tego co słyszałem, chcieli panowie złożyć w ofierze jednego z paleolitycznych podopiecznych Bonfilsa. Czy to prawda?

– Nie rozumie pan naszej religii – oświadczył Fodor Impliega, stanowczym, głośnym tonem. – Wielki bóg, Camb, egzystuje w każdym z nas, my wszyscy jesteśmy tylko częściami jednej całości, całości złożonej z tych części.

Fodor Banzoso, wzmocnił jeszcze to stwierdzenie.

– Użył pan słów 'złożyć w ofierze'. Są one błędne. Powinien pan powiedzieć 'udać się, aby połączyć się z Cambem'. To działa podobnie jak podejście do ognia, aby się rozgrzać, a ogień staje się coraz cieplejszy, w miarę jak coraz więcej dusz przybywa, aby się do niego przyłączyć.

– Tak, tak. Rozumiem – stwierdził Pascoglu. – Zaś pan Bonfils odmówił panom oddania jednego ze swoich paleolitycznych podopiecznych, na ofiarę...

– Nie 'ofiarę'!.

– ... a więc, rozgniewali się panowie i ostatniej nocy złożyli panowie w ofierze samego Bonfilsa!

– Czy mógłbym się wtrącić? – spytał Magnus. – Wydaje się, że mogę oszczędzić nam wszystkim nieco czasu. Jak pan wie, panie Pascoglu, dzisiejszego dnia, rano, spędziłem kilka godzin, na rozmaitych badaniach. Zaryzykowałem poświęcenie części tego czasu, na camgiańskie obrzędy ofiarne. Aby rytuał był ważny, ofiara musi klęknąć i pochylić głowę do przodu. W jej uszy wprowadzane są dwa szpikulce i martwa ofiara pozostawiana jest w tej pozycji, klęcząca, z twarzą do dołu, w stanie rytualnego oddania. Bonfils został zabity, bez zwracania uwagi na jakiegokolwiek reguły. Sugeruję więc, że Fodor Impliega i Fodor Banzoso, są niewinni, a przynajmniej, w sprawie tej określonej zbrodni.

– To prawda, prawda – potwierdził Fodor Impliega. – Nigdy nie zostawilibyśmy ciała, w takim nieładzie.

Pascoglu wyduł policzki.

– Chwilowo, to już wszystko.

W tej właśnie chwili, wrócił Cień 199, ubrany w obcisłe czarne pantalony, białą bluzę, czarną marynarkę i czarny, trójkątny kapelusz. Wszedł bokiem do biblioteki, przepuszczając wychodzących z niej kapłanów.

– Powinien pan zadać co najmniej jedno pytanie – oświadczył Magnus Ridolph. – Jakie ubranie miał na sobie nasz gość ostatniej nocy. Dokładnie, jakie rzeczy?

– A więc? – spytał Pascoglu. – W co był pan ubrany?

– Byłem ubrany na niebiesko i purpurowo.

– Czy zabił pan Lestera Bonfilsa?

– Nie.

– Nie ma wątpliwości, że pan Cień 199 powiedział nam prawdę – wtrącił Magnus. – Kolarianie popełniają gwałtowne czyny, wyłącznie wtedy, gdy ubrani są w szare pantalony, albo kombinację zielonej marynarki i czerwonego kapelusza. Myślę, że może pan bezpiecznie wyeliminować pana Cienia 199.

– Bardzo dobrze – odparł Pascoglu. – Wydaje mi się, że to już wszystko, panie Cień.

Cień 199 wyszedł, a Pascoglu, w nastroju zniechęcenia, sprawdził swoją listę. Powiedział do siatki:

– Proszę, aby przyszedł do nas pan Hercules Starguard.

Hercules Starguard był młodym człowiekiem, o dużym fizycznym uroku osobistym. Jego włosy tworzyły gęste kłębowisko loków w kolorze lnu, oczy miał błękitne, jak szafiry. Ubrany był w musztardowe bryczesy, świecącą czarną marynarkę i wypolerowane czarne, krótkie buty. Pascoglu podniósł się z krzesła, na którym w międzyczasie, usiadł.

– Panie Starguard, próbujemy czegoś się dowiedzieć, na temat śmierci pana Bonfilsa.

– Niewinny – odparł Starguard. – Nie zabiłem tej świni.

Pascoglu uniósł brwi.

– Czyżby miał pan jakieś powody do tego, aby nie lubić pana Bonfilsa?

– Tak, powiedziałbym, że nie przepadałem za panem Bonfilsem.

– A jaka była przyczyna tej niechęci?

Starguard z wysokości swojego nosa, popatrzył pogardliwie na Pascoglu.

– Naprawdę, panie Pascoglu, nie rozumiem w jaki sposób, moje emocje mogłyby pomóc w pańskim dochodzeniu.

– Jedynie w przypadku – odparł Pascoglu, – gdyby to pan był osobą, która zabiła pana Bonfilsa.

Starguard wzruszył ramionami.

– Nie zrobiłem tego.

– Czy, tak dla mojej satysfakcji, mógłby pan to jakoś potwierdzić?

– Prawdopodobnie, nie.

Magnus wysunął się do przodu.

- Być może, ja będę w stanie panu pomóc, panie Starguard. Pascoglu spojrzał na niego z iskrą w oczach.
- Proszę, panie Ridolph, nie wydaje mi się, aby pan Starguard potrzebował pomocy.
- Chciałbym tylko wyjaśnić tę sytuację – odparł Magnus.
- Tak samo, jak wyjaśnił mnie pan ze wszystkich moich podejrzanych – warknął Pascoglu. – Bardzo dobrze. A więc, co się stało tym razem?
- Pan Starguard jest Ziemianinem, czyli podlega wpływowi naszej podstawowej cywilizacji ziemskiej. W odróżnieniu od wielu ludzi i niemal-ludzi na planetach zewnętrznych, wpojono w niego ideę, że życie ludzkie jest czymś bardzo cennym oraz, że ten, kto kogoś zabije, zostanie ukarany.
- To jakoś nie powstrzymuje morderców – chrząknął Pascoglu.
- Ale to powstrzymuje Ziemian przed zabijaniem w obecności świadków.
- Świadców? Te paleolityczne istoty? A do czego oni mogą się przydać jako świadkowie?
- Prawdopodobnie zupełnie do niczego, a przynajmniej w sensie prawnym. Ale są oni ważnym czynnikiem, ponieważ obecność ludzkich widzów, powinna powstrzymać Ziemianina przed morderstwem. Z tego powodu, uważam, że możemy wyeliminować pana Starguarda, z poważnych rozważań, jako sprawcę.
- Pascoglu opadła szczęka.
- Ale... w takim razie, kto nam pozostał? – Spojrzał na swoją listę. – Hekateanin. – Podeszedł do siatki. – Proszę teraz przysłać do nas pana... – Zmarszczył brwi. – Proszę teraz przysłać do nas Hekateanina.

Hekateanin był jedynym nie człowiekiem w całej tej grupie, chociaż z zewnątrz, pod względem posiadanych organów, okazywał pewne podobieństwo do prawdziwych ludzi. Był wysoki, miał patykowate nogi i ciemne, zamyślane oczy, na okrytej twardą chityną białej twarzy. Jego dłonie były elastycznymi, pozbawionymi palców, kłapkami: to była najbardziej widoczna cecha, odróżniająca go od ludzi. Zatrzymał się w wejściu, mierząc wzrokiem wnętrze pomieszczenia.

- Proszę wejść, panie... – Pascoglu przerwał z rozdrażnieniem. – Nie znam pańskiego nazwiska, ponieważ odmówił pan jego podania, tak więc, nie mogę zwracać się do pana we właściwy sposób. Niemniej jednak, gdyby był pan taki uprzejmy, wejść...

Hekateanin ruszył do przodu.

- Ludzie to zabawne zwierzęta. Każdy z was ma swoją własną, prywatną nazwę. Ja wiem, kim jestem, dlaczego więc miałbym przyklejać sobie etykietkę? To wasz zwyczaj rasowy, potrzeba przypisania dźwięku, każdej realnej rzeczy.

- My, po prostu, lubimy wiedzieć, o czym rozmawiamy – odparł Pascoglu. – To właśnie w ten sposób kojarzymy rzeczy w naszych umysłach, przy pomocy nazw.

– I tym samym, umyka wam większość intuicji – orzekł Hekateanin. Jego głos brzmiał uroczyście i pusto. – Ale wezwaliście mnie tutaj, na przesłuchanie, dotyczące człowieka, określanego etykietą Bonfils. Nie żyje.

– Dokładnie – potwierdził Pascoglu. – czy wie pan może, kto go zabił?

– No pewnie – odparł Hekateanin. – Czy nie wiedzą tego wszyscy?

– Nie – powiedział Pascoglu. – Kto to jest?

Hekateanin rozejrzał się dookoła po pomieszczeniu, i kiedy jego wzrok ponownie spoczął na Pascoglu, oczy obcej istoty były równie puste, jak dziury w grobowcu.

– Najwyraźniej musiałem być w błędzie. Skoro teraz już wiem, że osoba w to zamieszana, życzy sobie, aby jej czyn pozostał niezauważony, to dlaczego miałbym robić sobie z niej wroga? Jeżeli nawet wiedziałem, kto to jest, to teraz już nie wiem.

Pascoglu zaczął się pluć, ale Magnus interweniował, mówiąc poważnym głosem.

– Rozsądna postawa.

Temperatura gniewu Pascoglu, nieco opadła.

– A ja uważam, że taka postawa jest haniebna. Zostało popełnione morderstwo, to stworzenie twierdzi, że wie przez kogo, ale nie powie... Mam dobry powód, do uwięzienia go w jego kwaterze, do chwili kiedy w pobliżu, nie będzie przelatywał jakiś statek patrolowy.

– Jeżeli zrobisz coś podobnego – zagroził Hekateanin, – to uwolnię w powietrze zawartość mojego worka zarodnikowego. Wkrótce twój Ośrodek będzie zamieszkiwany przez setki tysięcy mikroorganizmów, a jeżeli skrzywdzisz choćby jeden z nich, będziesz winien tego samego przestępstwa, w sprawie którego teraz prowadzisz śledztwo.

Pascoglu podbiegł do drzwi i otworzył je na oścież.

– Wynoś się stąd! Precz! Zabieraj się z Ośrodka następnym statkiem! Zabraniam ci kiedykolwiek powrotu tutaj!

Hekateanin wyszedł bez słowa komentarza. Magnus wstał, przygotowując się, aby ruszyć w jego ślady. Pascoglu uniósł do góry rękę.

– Jedną chwileczkę, panie Ridolph. Potrzebuję pańskiej rady. Byłem zbyt niecierpliwy. Straciłem głowę.

Magnus zastanowił się.

– A tak dokładnie, czego pan ode mnie oczekuje?

– Proszę znaleźć mordercę. Niech pan wyciągnie mnie z tego bałaganu.

– Te wymagania mogą mieć sprzeczny charakter.

Pascoglu opadł na krzesło, przyłożył sobie dłoń do czoła.

– Proszę nie dawać mi kolejnych zagadek, panie Ridolph.

– Prawdę mówiąc, panie Pascoglu, nie potrzebuje pan już moich usług. Przesłuchał pan podejrzanych, i przynajmniej pobieżnie zapoznał się pan z uwarunkowaniami kulturowymi, które ich ukształtowały.

– Tak, tak – wymamrotał Pascoglu. Wziął do ręki listę, popatrzył na nią, a następnie spojrzał kątem oka na Magnusa. – Który z nich? Diasporus? Czy to on jest winny?

Magnus wygiął wargi w wyrazie wątpliwości.

– On jest Rycerzem Dacca, gladiatorem-amatorem, niewątpliwie o znacznej reputacji. Tego rodzaju morderstwo, zdruzgotałoby jego szacunek do siebie samego, jego pewność siebie. Oceniam prawdopodobieństwo na 1%.

– Hmmm. A co pan powie o Fiamelli z Tysiąca Świec? Przyznała, że wyruszyła za nim, żeby go zabić.

Magnus zmarszczył brwi.

– Zastanawiam się nad tym. Śmierć na skutek awantury miłosnej, nie jest, oczywiście, czymś niemożliwym -- ale czy pragnienia Fiamelli nie są czasami bardziej wieloznaczne? Z tego, co zrozumiałem, jej reputacja doznała uszczerbku, z powodu obojętności Bonfilsa, i wskutek tego wyruszyła za nim w drogę, aby ją podreperować. Gdyby mogła nękać biednego Bonfilsa przy pomocy swojego uroku i sztuki uwodzicielskiej, doprowadzając dzięki temu do jego zagłady, mogłaby w ten sposób odzyskać twarz. Miała więc wiele do stracenia, gdyby umarł w jakikolwiek inny sposób. Prawdopodobieństwo: 1 procent.

– Hmmm. A co z Cierniem 199?

Magnus rozłożył ręce.

– Nie był ubrany w swoje szaty do zabijania. I to wystarczy. Prawdopodobieństwo: 1 procent.

– No, dobrze – wyjęczał Pascoglu. – A co z kapłanami, Banzoso i Impliega? Potrzebowali ofiary dla swojego boga.

Magnus pokręcił przecząco głową.

– Z ich punktu widzenia, ta robota, to była partanina. Ofiara złożona w tak niedbały sposób, ściągnęłaby na ich głowy dziesięć tysięcy lat potępienia.

Pascoglu zasugerował niezdecydowanym głosem:

– Ale przypuśćmy, że oni, tak naprawdę, w to nie wierzą?

– Po co by wtedy robili sobie kłopot? – spytał Magnus. – Prawdopodobieństwo: 1 procent.

– A więc, pozostaje Starguard – zadumał się Pascoglu, – ale uważa pan, że on nie byłby w stanie popełnić morderstwa w obecności świadków...

– To wydaje się wysoce nieprawdopodobne – stwierdził Magnus. – Oczywiście, moglibyśmy spekulować, że Bonfils był szarlatanem, że jego paleolityczni podopieczni są oszustami, że Starguard był jakoś zamieszany w to oszustwo...

– Tak, tak – z ożywieniem podchwycił Pascoglu. – Ja również myślałem o czymś podobnym.

– Jedyna wada tej teorii polega na tym, że nie ma możliwości, aby była ona prawdziwa. Obserwowałem tych jego paleolitycznych podopiecznych i uważam ich za autentyczne istoty prymitywne. Są nieśmiali i zdezorientowani. Ludzie cywilizowani, próbujący naśladować barbarzyńskie zachowanie, mimowolnie przesadzaliby z brutalizacją swojej roli. Barbarzyńca, adaptujący się do warunków cywilizacji, dostosowuje się do modelu, narzuconego przez jego nauczyciela -- w tym przypadku Bonfilsa. Obserwowałem ich przy kolacji i byłem rozbawiony, jak uważnie

naśladowali jego zachowanie. Potem, kiedy badaliśmy zwłoki, wszyscy trzej byli wyraźnie oszołomieni, pokorni i wystraszeni. Nie byłem w stanie dostrzec nawet śladu jakiejś przebiegłej kalkulacji, przy pomocy której cywilizowany człowiek, miałby nadzieję wydostać się z tak niewygodnej sytuacji. Wydaje mi się więc, że Bonfils i jego paleolityczni podopieczni, są dokładnie tymi, za kogo ich mamy.

Pascoglu zerwał się z krzesła, krążąc po bibliotece, w tą i z powrotem.

– A więc ci paleolityczni ludzie, nie mogli zabić Bonfilsa.

– Prawdopodobieństwo zupełnie pomijalne. A jeżeli przyjmiemy, że oni są autentyczni, musimy odrzucić pomysł, że Starguard był ich współnikiem, i wykluczyć go, na podstawie kulturowych ograniczeń, o których wspomniałem wcześniej.

– No cóż... a więc, Hekateanin. Co z nim?

– On jest jeszcze mniej prawdopodobnym mordercą, niż pozostali – odparł Magnus. – Z trzech powodów: Po pierwsze, nie jest człowiekiem i nie ma żadnych doświadczeń związanych z gniewem lub zemstą. Na Hekate przemoc jest zupełnie nieznana. Po drugie, jako nie-człowiek, nie ma wspólnych punktów styczności z Bonfilsem. Lampart nie atakuje drzewa. Są to istoty zupełnie odrębnego rodzaju. Tak samo jest z Hekateanami. Po trzecie, Hekateaninowi trudno by było zabić Bonfilsa zarówno fizycznie, jak również psychologicznie. Jego dłonie, nie mają palców, są one tylko kłapkami ze ścięgien. Nie byłby w stanie manipulować spustem, wewnątrz osłony języka spustowego. Myślę, że może pan dać sobie spokój z Hekateaninem.

– A więc, kto to jest? – zawołał Pascoglu z desperacją.

– No cóż, pozostał pan, pozostałem ja, oraz również...

Drzwi ponownie się otworzyły i do pomieszczenia zajrzał lama w czerwonym płaszczu.

– Proszę wejść, serdecznie zapraszam – oznajmił kordialnie Magnus. – Nasze dochodzenie właśnie się zakończyło. Stwierdziliśmy, że ze wszystkich osób przebywających tutaj, w Ośrodku, tylko pan mógł zabić Lestera Bonfilsa, tak więc nie ma już potrzeby, abyśmy dalej zajmowali bibliotekę.

– Co! – zawołał Pascoglu, wpatrując się w lamę, który wykonał lekceważący gest.

– Miałem nadzieję – odparł lama, – że mój udział w tej sprawie, umknie jakoś panów uwagi.

– Jest pan zbyt skromny – stwierdził Magnus. – Jeżeli tylko jest to możliwe, człowiek powinien być znany ze swoich szlachetnych uczynków.

Lama skłonił się.

– Nie potrzebuję żadnych pochwał. Tylko spełniłem swój obowiązek. A jeżeli naprawdę panowie już tutaj skończyli, mam do wykonania trochę pracy badawczej.

– Ależ oczywiście. Chodźmy, panie Pascoglu, bylibyśmy nieuprzejmi, nie pozwalając tak wartościowemu człowiekowi, jak nasz kapłan, na

prowadzenie swoich medytacji. – I Magnus wyciągnął ogłupiałego Pana Pascoglu na korytarz.

– To on jest... to on jest mordercą? – spytał Pascoglu słabym głosem.

– To on zabił Lestera Bonfilsa – oświadczył Magnus. – Akurat to, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

– Ale dlaczego?

– Z dobroci serca. Bonfils przez chwilę rozmawiał ze mną. Bez wątpienia cierpiał na znaczne cierpienia psychiczne.

– Ale przecież... można go było leczyć! – zawołał z oburzeniem Pascoglu. – Nie trzeba było go od razu zabijać, żeby uśmierzyć jego uczucia.

– Nie trzeba, według naszego punktu widzenia – wyjaśnił Magnus. – Ale musi pan pamiętać, że lama jest oddanym wyznawcą koncepcji... no cóż, określmy ją jako „reinkarnację”. Poświęcił siebie samego, aby dokonać szczęśliwego wyzwolenia biednego udręczonego Bonfilsa, który przyszedł do niego po pomoc. Zabił go dla jego własnego dobra.

W tej właśnie chwili, doszli do biura Pascoglu. Właściciel Ośrodka podszedł do okna, aby przez nie wyjrzeć.

– Ale co ja teraz mam zrobić? – wymruczał.

– W tej sprawie – powiedział Magnus, – nie jestem w stanie niczego panu poradzić.

– Penalizowanie biednego lamy, wydaje mi się jakoś niewłaściwe... To śmieszne. Jak mógłbym się za to zabrać?

– Rzeczywiście, mamy tutaj dylemat – zgodził się z nim Magnus.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, w czasie której Pascoglu ponuro pociągał za wąsa. Potem Magnus zauważył:

– Zasadniczo, pańskim celem jest ochrona klienteli, przed dalszymi zastosowaniami, tego rodzaju niezbyt trafionej filantropii.

– To jest najważniejsza rzecz! – zawołał Pascoglu. – Mógłbym przejść do porządku dziennego nad śmiercią Bonfilsa... wyjaśnić, że miała ona charakter przypadkowy. Wysłałbym jego paleolitycznych podopiecznych z powrotem na ich planetę...

– Radziłbym również odseparować lamę od osób wykazujących, najłabsze nawet przejawy melancholii. Jako, że jest on człowiekiem energicznym i oddanym swoim przekonaniom, może próbować rozszerzyć zakres świadczonej dobroczynności.

Pascoglu nagle przyłożył rękę do policzka. Odwrócił się do Magnusa, z oczyma wielkimi jak spodki.

– Dzisiaj rano, czułem się strasznie zdolowany. Rozmawiałem z lamą... i opowiedziałem mu o wszystkich swoich kłopotach. Narzekałem na wydatki...

Drzwi rozjechały się cicho na boki i do środka zajrzał lama, z lekkim uśmieszkiem na swojej życzliwej twarzy.

– Czy może w czymś przeszkadzam? – zapytał, kiedy dojrzał Magnusa Ridolpha. – Spodziewałem się, że zastanę pana samego, panie Pascoglu.

– Właśnie wychodziłem – uprzejmie odparł Magnus. – Panowie mi wybaczają...

– Nie, nie! – zawołał Pascoglu. – Proszę nie wychodzić, panie Ridolph!

- Możemy to załatwić innym razem – uprzejmie oznajmił lama. Drzwi zamknęły się za jego plecami.
- Teraz czuję się gorzej, niż kiedykolwiek – wyjęczał Pascoglu.
- Lepiej to ukryć przed lamą – doradził Magnus.

KONIEC